

PRYMUS

Gazetka Katolickiego Gimnazjum nr 15 im. ks. Jerzego Popiełuszki

Październik 2008

W numerze (między innymi):

Otrzęsiny gimnazjalistów

Wspomnienie wyborów

Bezpieczna szkoła

Witamy ponownie!!!

Po niemal rocznej przerwie *Prymus* powraca, by na nowo nas zaskakiwać, rozśmieszać i pomóc nam się poznać, tym bardziej, że w tym roku w naszej szkole pojawiło się tyle nowych twarzy. Podczas krótkiej przerwy, w naszych głowach narodziło się mnóstwo pomysłów na to, by odnowić naszą gazetkę. Po poukładaniu ich w całość otrzymaliśmy to, co właśnie trzymasz w dłoni... Mamy nadzieję, że dołączycie do wspólnej zabawy i podzielicie się z innymi swoimi spostrzeżeniami i refleksjami.

Pozdrowienia od redakcji

Redakcja:
Marek Biedrzycki
Mateusz Kawecki
Albert Materski
Jędrzej Pliszka
Stefan Rudziński
Rafał Starosielec
Aleksander Tyszka

„Wybory”

Ostatnio w szkole odbyły się wybory. Oczywiście większość kolegów z klasy, jak i ja, mieliśmy swojego faworyta, jednak ujrzawszy ulotkę tegoż kandydata..... no cóż, zmieniliśmy zdanie.

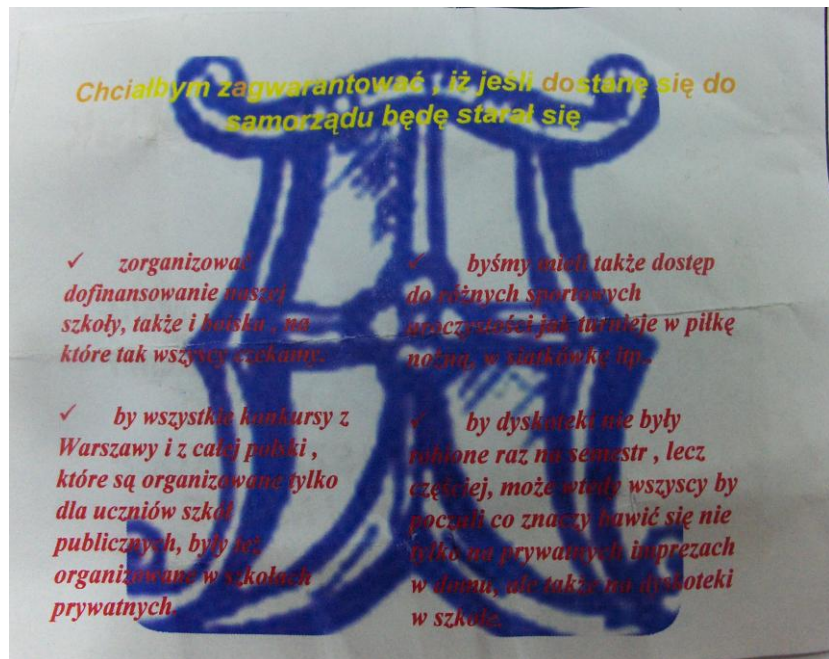


Szczególnie uraziła nas w tej ulotce „cała polska”, co więcej, było na niej o wiele za dużo błędów składniowych, a oprócz tego kandydat posłużył się bezprawne logo naszej szkoły. To przesada. Ze względu na zaistniałą sytuację wypadało zmienić swojego faworyta.

Ku naszej zgubie daliśmy się przekupić krówkami. Nieważne już były te wszystkie obietnice wyborcze i piękne przemówienia.

Priorytetem była ta charakterystyczna słodycz w ustach. Żaden inny kandydat nie mógł liczyć się z „dawcą krówek”.

Widać, że „kietbasa wyborcza” okazała się w tych wyborach czynnikiem decydującym. Pozostaje nam tylko nadzieja, że nasz nowy radny będzie należycie sprawował swoją funkcję, a my w przyszłości będziemy kierować się rozważą i rozumem.



Marek Biedrzycki

Ostatnie słowo

Wracając do domu w ostatni piątek zdawałem sobie sprawę z ogromu pracy, jaki na mnie czeka... i czyż to nie jest skandaliczne, by w weekend, który powinien być zarezerwowany na odpoczynek, drugiego dnia siedzieć przy książkach?!

Niestety, takie życie...

Szkoła - według słownika języka polskiego - jest to instytucja oświatowo-wychowawcza, mająca za zadanie kształcić oraz wychowywać młodych ludzi; także siedziba takiej instytucji.

A to ci nowość! „Kształcenie i wychowywanie”? Oczywiście, powszechna oświata jest tym wspaniałym wynalazkiem epoki oświecenia, który znacząco przyczynił się do wyplenienia analfabetyzmu, przesądów, czy ciemnoty w Europie. Jednak na co dzień, jest dla szarego, zwykłego ucznia (czytaj: mnie) przykrym, acz koniecznym obowiązkiem, którego siłę przygnębienia można poczuć codziennie rano, gdy trzeba do niej iść, gdy nadchodzi czas na jakąś wyjątkowo nudną, jak flaki z olejem, lekcję (patrz: angielski) oraz codziennie po południu, gdy trzeba zabrać się do jakiejś ciężkiej pracy domowej (jak teraz). Zatrzymajmy się na chwilę przy tym ostatnim aspekcie.

Otóż, praca domowa jest czymś, czego uczeń najbardziej nie rozumie i nie lubi (na



Nasza grupa w trakcie zażartej dyskusji. (Od lewej: Aleksander Tyszka, Stefan Rudziński, Albert Materski, Rafał Starosielec, Anna Maria Gawalkiewicz)

Fotografia ze zbiorów autora

przykład przed chwilą, utrata wątku kompletnie obrzydziła mi pisanie - w zamian za to, bezsensownie wgapiąłem się w kartkę przy świadomości, że MUSZĘ coś napisać do rana - męczarnie!). Kalkulacja wygląda następująco: siedem godzin muszę wystuchiwać tego nudzenia, tylko i wyłącznie po to, by dostać stertę wielkich, czy małych, ale zawsze tak samo niestrawnych prac domowych. Nawet gdyby ich liczba, albo treść okazały się być wyjątkowo absurdalne i tak musisz to wszystko odrobić, bo po przyjsciu do szkoły nauczyciel będzie się głupio czepiać, że „miałeś całą noc na odrobienie...”(czego dokładnie to się tyczyło niestety już nie pamiętam, gdyż piszę kolejne z rzędu wypracowanie)

No cóż, można powiedzieć, życie dobjaja...

Piszę te wypracowania po nocach, w stanie na wpół na „kacu”, byle tylko coś mieć, a potem - po przyjsciu na lekcję - muszę udawać, że jestem zachwycony tym, co nabazgrałem, jakie to głębokie, a jakie mądre itd, itd... Tak na marginesie, te nocne prace, pisane tzw. „metodą wolnych skojarzeń” (tj. „co ślina na język przyniesie”) to znakomity materiał do psychoanalizy dla jakiegoś profesora, który może kiedyś będzie chciał mi pomóc w pozbyciu się różnych kompleksów i obsesji. Praktycznie wszystko, o czym myślę, może się jeszcze zmienić, ale badany sposobem Freud'a, na hasło „szkoła”, odpowiem następującym sloganem: „nuda, męka i przykra konieczność”.

Brrr..., aż się żyć od tego natłoku zajęć odechciewa. Uczniowie są, po prostu, przeładowani lekcjami, czy pracami domowymi, a skutkiem tego wielkie poparcie zyskuje w szkole filozofia mówiąca o tym, że życie to jest tylko męczarnia i sensu w tym na dłuższą metę nie widać żadnego. Krąży nawet taka popularna maksyma, zręcznie oddająca istotę istnienia człowieka: „życie jest jak papier toaletowy: długie, szare...”.

(Przepraszamy za jakość zdjęcia, ale obiekt intensywnie się poruszał)

Najlepszy przykład potwierdzający znaną prawdę, że śmiech to zdrowie – nawet w środku ciężkiego dnia szkolnego. Marek Biedrzycki konsumujący kanapkę.

Fotografia ze zbiorów autora



Wchodzę rano do szatni, a tam, prócz dziewczyn ekscytujących się kolejnym „wspaniałym” harcerzem lub ostatnią zbiórką (kiedyś mnie to irytowało, ale teraz - przyzwyczałem się), siedzi odwiecznie rzadkiem na ławce cała grupa moich kumpli - towarzyszy niedoli, którzy z szelmowskim uśmiechem patrzą się na każdego wchodzącego. Same ich miny wyrażają już tą żebraczą prośbę, kierowaną do mnie oraz do Marka B. codziennie rano: „Daj spisać, daj spisać...”. Mam miękkie serce, więc wypadki, gdy nie „daję spisać” zdarzają się niezmiernie rzadko. A oni, kiedy zeszyt już dostaną, rozsiadają się wokół niego, rozpoczynając ceremonię. Kilka razy nie zdążyli wszystkiego pochować na czas i zostali nakryci przez nauczyciela fizyki. Mieli potem o to kilka spraw.

Jak już mówiłem „spisywać” zazwyczaj daję, acz raz przydarzyła mi się sytuacja zgoła odmienna. Było to tak: mieliśmy jakąś ciężką pracę domową (standard). Namęczyłem się przy niej niezłe, a gdy kończyłem, pomyślałem sobie, że ja się tutaj ciężko narobiłem, a ta banda darmozjadów usiądzie jutro w szatni i błagalnym wzrokiem będzie witać przybyszów. Dość tego! Nie ma tak łatwo! Byłem tak skonfundowany, że jak wszedłem do szatni następnego dnia rano, krzyknąłem sobie, jak przystało. Zrugąłem wszystkich ostro, trochę mieszając z błotem, a spisać w końcu nie dałem. Nie muszę chyba dodawać, iż cała grupa, jak jeden mąż, dostała oceny na jakie od dawien dawna zasługiwała.

Tak oto, życie w szkole toczy się. Pierwotna „placówka oświatowo-wychowawcza” w praktyce okazuje się być areną wybujałego życia towarzyskiego, masowego kombinatorstwa (zgodnie z inną popularną mądrością uczniowską: „w tej szkole trzeba

kombinować, by przeżyć”), a nade wszystko areną ciągłego gnębienia z gruntu rzeczy pocziwego ucznia. Nawet ten felieton, który w założeniu miał być lekki, krótki i śmieszny stał się długi, przygnębiający, a ze śmiechem to już na pewno ma niewiele wspólnego. Po takim szczerym wyznaniu mogę, prawie na pewno, spodziewać się odnośnika „praca niezgodna z wymaganą formą” oraz odpowiedniej oceny, a czego, zgodnie zresztą z USF (Uczniowskim Systemem Filozofowania), oczekuję z niecierpliwością jako wymiernej nagrody za me trudy.

Kończę już, gdyż muszę jeszcze odrobić francuski (o zgrozo!), co zajmie mi też trochę czasu. Przed chwilą spojrzałem na zegarek: jest poniedziałek, godzina 2:20.

Życie jednak w dalszym ciągu dobija...

Wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób poczuli się urażeni treścią niniejszego felietonu – serdecznie przepraszam.

Jędrzej Stanisław Pliszka

Prywatność a Bezpieczeństwo

Amerykański satelita rozpoznawczy KH-4B Corona potrafi filmować obraz przez chmury lub w nocy z dużą rozdzielczością, co oznacza, że umie wychwycić na swojej kamerze dziecko przebiegające przez ulicę. Tak zwana pluskwa, czyli miniaturowy nadajnik radiowy z wmontowanym mikrofonem (w całości o wymiarach ok. 3x3 cm), potrafi wychwycić dźwięk dochodzący nawet z kilkunastu metrów. Raz zamontowany, jest praktycznie nie do wykrycia, chyba

że dysponuje się urządzeniem analizującym spektrum elektromagnetyczne.

Z kolei słynny komputerowy wirus, o intrygującej nazwie „Koń Trojański” (tzw. Trojan), pozwala osobie rozsyłającej, pod przykrywką programów przydatnych, bądź ciekawych dla użytkownika, zainstalować na komputerze serię oprogramowań. Jednym z najszkodliwszych jest Backdoor, czyli program pozwalający całkowicie kontrolować „zarażony” komputer przez osoby trzecie i sprawdzać wykaz chatów na gadu-gadu, po deinstalację systemu. To tylko kilka z wielu sposobów, pozwalających na kontrolę innej osoby. Problem tkwi jednak w tym, czy jest to ochrona nas, czy też naruszanie naszej prywatności.

W Niemczech, a raczej w Niemieckiej Republice Demokratycznej, takie metody (oczywiście wtedy jeszcze nieco bardziej prymitywne) stanowiły ulubioną broń partii, którą nagminnie stosowano przeciwko ludowi.

Gdy tylko ktoś wydał się podejrzanym organom władzy zakładano mu podsłuch i nagrywano w domu, dowiadując się tym samym o nim niemal wszystkiego. Partia tłumaczyła to oczywiście bezpieczeństwem narodu, gdy w rzeczywistości było to jedynie usuwanie niewygodnych dla siebie ludzi. Taką wizję doskonale ukazuje film pod tytułem „Życie na Podsłuchu” w reżyserii Floriana Henckela von Donnersmarck.

Z kolei w Ameryce jest mnóstwo organizacji, takich jak CIA lub FBI, które stosują metodę satelitarną oraz cyfrową, aby bronić naród przed złem (do ciekawostek należy również to, że CIA właśnie wyszkoliło terrorystę Usamah'a bin Muhammad'a bin Ladin'a, który początkowo miał zaszkodzić Rosji, a nie zwrócić się przeciwko USA). Tę sytuację akurat, doskonale ukazuje film pod tytułem „Wróg Publiczny” w reżyserii Tony'ego Scott'a.



Umiałbyś/abyś znaleźć coś takiego w twoim pokoju? ☺ Jeden z wielu modeli pluskiew wywiadowczych.

Jak wynika z historii, takie metody nie zawsze były kierowane w stronę zagrożenia dla ludu. Szpiegostwo zastosował po raz pierwszy prawdopodobnie Sun Tzu w starożytnych Chinach (twórca pierwszego podręcznika sztuk wojennych). Potem sztuka ta rozwijała się przez średniowiecze, renesans. Prawdziwy przełom przeszła zaś podczas II wojny światowej.

Pytanie jednak brzmi, czy takie działania rzeczywiście są po to, aby nas chronić, czy są już tylko narzędziami pewnych ludzi do realizowania pewnych celów?

Albert Materski

O OTRZĘSINACH SŁÓW KILKA

czyli z punktu widzenia pierwszoklasisty

17 września uczniowie klasy pierwszej gimnazjum od rana byli bardzo przejęci. Nikt nie myślał o niczym innym, jak tylko o wieczornej zabawie. Głównym problemem była, rzecz jasna, kwestia stroju. No bo w końcu, jak będzie ładniej - pójść w dresie, czy w krawacie szkolnym? A może od razu założyć piżamkę, bo impreza może się późno skończyć? Dylemat stał przed każdym. Na szczęście przed godziną 17:00 nie było już wątpliwości, że każdy sobie z nim poradził.



Pierwszoklasiści byli bardzo ciekawi, jak wyglądają zwyczajowe „otrząsiny”. Kiedy na dolnym korytarzu usłyszeli lecące z głośników disco polo oraz muzykę z lat 60., byli przeszczęśliwi. Już formowali się do „wężyka”, ale starsi koledzy przeszkodzili im (nie zapomniemy Wam tego!!!!). Każdy musiał, trzymany za rączkę, przejść dookoła szkoły. Na początku, nowym gimnazjalistom, sympatyczne koleżanki z drugiej klasy zawiązywały chustką oczy. Niektórzy myśleli, że na dobre rozkręci się zabawa w ciuciubabkę, ale i ten pomysł nie wypalił. Kiedy z zasłoniętymi oczami uczniowie docierali pojedynczo na pierwsze piętro (był to nie lada wyczyn!), byli koleżeńsko częstowani paluszkami z automatu (tak, tak, chodzi, o ten, co „połyka kasę”). Warto wspomnieć też o tym, że najmodniejsze dziewczyny, które miały przy sobie zestaw Barbie do malowania twarzy, postanowiły upiększyć także młodszych kolegów. Miło z ich strony. Następnie, po przejściu najwęższego korytarza na światło, trzeba było ukucnąć w toalecie. Wtedy niespodziewanie pani szatniarka wylewała na niewinne główki dzieci wodę z kwiatków. Po wieczornej kąpieli (no bo po co kapać się drugi raz w domu, jak w szkole umyli główkę gratis?). Trzymani za rączkę pierwszoklasiści przeszli tzw. „górnym korytarzem” i udali się do klasy drugiej gimnazjum „a”. Niesamowitym przeżyciem było słuchanie, jak klasowy kwartet drugoklasistów gra na skrzypcach. Oprócz tego na uczniów czekał słodki poczęstunek (tylko nieliczni poczuli w nim smak niezbyt ciekawej mieszanki ze świeżych sardynek z Lidla). Z sali poczęstunków i muzyki klasycznej dzieci przechodziły przed pokój nauczycielski, gdzie zdejmowano im chustki z oczu. Dopiero wtedy dowiadawali się od bardziej zorientowanych kolegów, z jakich punktów naprawdę składały się „otrząsiny”... Dalsza zabawa była naprawdę niezwykła, choć trzeba było zmyć w toalecie makijaż otrząsinowy. Okazało się, iż piżamki nie były potrzebne, bo i tak większość pierwszoklasistów poszła do domu przed końcem imprezy.

Otrząsiny dobiegły końca i niewinne dzieci zmieniły się w gimnazjalistów. Wrażenia po zabawie pozostaną na długo...

Mateusz Mickiewicz

Kuchnie Świata

W Polsce, ostatnimi czasy, zapanowała moda na kuchnię orientálną i egzotyczną. Coraz częściej na nasze stoły trafiają potrawy z dalekiego wschodu, które powoli wypierają naszą rodzimą kuchnię. W dzisiejszych czasach, aby zabłysnąć przed znajomymi czy mieć udane spotkanie z pracodawcą, klientem, należy wykazać się znajomością kuchni orientálnej, a przynajmniej powinno się znać jakąś dobrą restaurację.

Jeśli chcecie wykazać się wiedzą o kuchni orientálnej to zapraszam do dalszej lektury tego artykułu. W tym wydaniu zajmiemy się kuchnią japońską.

Sushi japońskie:

Składniki:

- 25 dag ryżu
- 2 plastry peklowanego łososa
- 1/2 papryki czerwonej
- kilka płatków wodorostu nori
- 4 łyżki octu ryżowego
- 1 łyżka cukru
- 1 łyżka soli
- sos sojowy

Czynności:

1. Ugotuj ryż tak, aby był kleisty (należy użyć większej ilości wody niż zazwyczaj).
2. Zagotuj ocet z cukrem i solą i wlej do uprzednio ugotowanego ryżu i odstaw do wystygnięcia.
3. Paprykę pokrój w kostkę.
4. Łososa pokrój w paseczki.

5. Rozłóż płatki nori i posmaruj je ryżem.
6. Ułóż na nim łososia i paprykę.
7. Zwiń w roladki.

Sushi należy podawać z sosem sojowym i japońskim chrzanem wasabi.

A teraz coś na deser.

Japoński deser Awayuki:

Składniki:

- 4 łyżki żelatyny,
- 2 filiżanki wody,
- 3 filiżanki cukru,
- 4 białka,
- 2 łyżki otartej skórki cytrynowej,
- 4 łyżki soku z cytryny,
- 400 g dorodnych truskawek lub poziomek.

Czynności:

1. Rozpuść żelatynę w wodzie, a kiedy spęcznieje dodaj cukier, wstaw na mały ogień i mieszaj bez przerwy aż cukier się rozpuści, potem odstaw do ostygnięcia.
2. Umyj truskawki lub poziomki i osusz je na ściereczce.
3. Z białek ubij pianę na sztywno i wlej do niej żelatynę i ubijaj dalej. Nie przerywając tej czynności dodaj soku z cytryny i jej skórki.
4. Gęstniejącą masę wlej do prostokątnego naczynia i wyrównaj jej powierzchnię.
5. Do masy powkładaj truskawki lub poziomki czubkami w dół i wstaw do lodówki na ok. 6 godzin (aż do stężenia).
6. Po stężeniu masy wywróć formę do góry dnem i wyjmij masę. Jest ona gotowe do podawania, wystarczy podzielić na porcję.

To był przykładowy lunch, na który możecie zaprosić swoich znajomych... Życzę smacznego.

Stefan Rudziński

W Służbie Bezpieczeństwu

Bezpieczeństwo w szkole, z pozoru błaży temat, ale po głębszym zapoznaniu może się wydać interesujący, a czasem zadziwiający ...

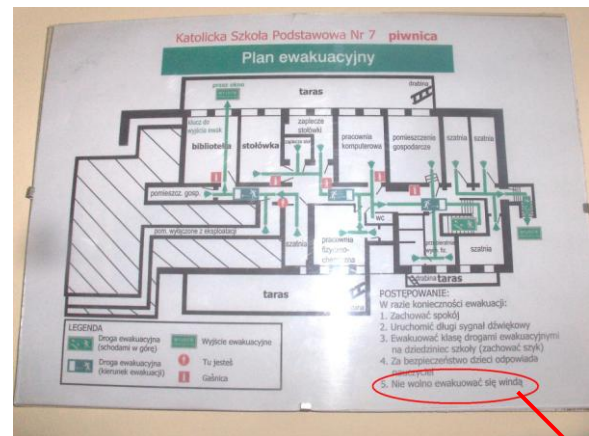
Weźmy przykład z tzw. życia naszej szkoły. Czy nikt z Was nie zastanawiał się nigdy nad tym, czemu te wspaniałe druty kolczaste są zwrócone do wewnątrz?



Odpowiedź jest banalnie prosta! Są zwrócone w ten sposób, by zdesperowani i sfrustrowani uczniowie nie uciekali w czasie lekcji... Tak, więc:

Mieszkańcy Warszawy nie lękajcie się!
Jeszcze żaden oszalały uczeń nie zdołał przemocą wyrwać się z "matczynych objęć" naszej szkoły i zaatakować niewinnego przechodnia !

Następny, nie mniej zadziwiający temat, to droga pożarowa... Z pozoru głupia i nudna sprawa, a jednak, po wczytaniu się w treść tabliczki informacyjnej, dowiadujemy się, iż pod żadnym pozorem w naszej szkole nie wolno ewakuować się windą!



5. Nie wolno ewakuować się windą

Z okazji tego uroczego odkrycia ogłaszamy konkurs na szczęśliwego znalazcę owej windy...

Nagrodą będzie dziesięcioletnia prenumerata *Prymusa*. Pomożecie?

Z wyrazami szacunku Redakcja

PROFESOR NAJLEPSZYM PRZYJACIELEM UCZNIA

Szkola, to brzmi dumnie... Miejsce, w którym idą w parze mądrość, wiedza, doświadczenie i młodość. Trzy pierwsze określenia dotyczą oczywiście nauczycieli, którzy z miłością i powołaniem wspierają dojrzewanie i młodość - czyli swoich uczniów. W mojej szkole całkowicie się to udaje, bo czy nie wspiera mnie nauczyciel, który w ramach „pomagania” mi, w nauce pewnego przedmiotu, spotkał się ze mną przed godziną ósmą i dokładnie odpytywał? Wcześniej nie informował, że będzie pytać i pytał z czego popadło. Za piątym razem poczułam wsparcie i pomoc tak skutecznie, że zaczęłam pić melisę, która podobno uspokaja.

Doświadczenie osób uczących w mojej szacownej szkole wzbogaca mnie każdego dnia. Już dzisiaj chciałabym mieć doskonały akcent, który ma jeden z nauczycieli języka obcego.

Ukojeniem są, dla skołataney młodej duszy rozpaczliwie szukającej odpowiedzi na pytania natury egzystencjalnej, godziny wychowawcze! Można rzec, że jest na nie genialny sposób - nie prowadzić ich! Wychowujemy się sami. Bez skrępowania głośno rozmawiamy i wymieniamy poglądy na tematy własne i cudze. To również czas na samokształcenie. Nauczyciel skromnym zejściem na drugi plan umożliwia nam np. odrobienie zaległych prac domowych.

Dochodzę do wniosku, że to właśnie grono pedagogiczne jest moim przyjacielem. Czy nie jest przyjacielem ten, który nie tłumacząc pewnych zagadnień stwierdza, że nie musi tego robić, bo i tak wszystko rozumiemy.

Nauczyciel w swojej mądrości i miłości do nas sprzeciwia się większości elementom naszej garderoby, które z punktu widzenia rozmiarów, mogą doprowadzić nieświadome uczennice do poważnych schorzeń, np. zapalenia nerek albo pępka. Tak o nasze zdrowie dbają chyba jeszcze tylko nasze mamy. A propos mamy... tylko bliska przyjaciółka, czyli jedna z moich nauczycielek, mogła zatroskać się o moje stopy. Poinformowano moją mamę, że robię „coś strasznego po szkole” - okazało się, że po szkole chodzę boso! No tak, nie pomyślałam! Przecież mogłam się przeziębic lub przypadkowo wbić

sobie drzazgę w duży palec. Niestety moja mama straciła do mnie cierpliwość i już dawno przestała zwracać uwagę na moje wybryki. Dobrze, że chociaż w szkole ktoś o mnie dba.

Za oddanie, poświęcenie, naukę potrafimy się odwdzięczyć. Kupiliśmy szacownemu gronu szklaną kulę, którą w chwilach nagłego napięcia, wszyscy uczący mogą poobracać w dłoniach. Jednak nie robią tego zbyt często. Są po prostu szczęśliwi. Jakie zdenerwowanie? Pełne zrozumienie i radość z przebywania w jednym miejscu z nami przez pół dnia.

Czasami tylko przeraża cisza, będąca odpowiedzią na pytanie profesora, stojącego pod zapisaną maczkiem i zygzaczkami tablicą, „czy są jakieś pytania?”

Taaaak... ta cisza przeraża...

Zosia

Wywiad z „Naszym Radnym”

Postanowiliśmy dowiedzieć się czegoś o pracy i obowiązkach naszego radnego, Konstantego Orzeszko, który reprezentuje naszą szkołę w Młodzieżowej Radzie Dzielnicy Wola. Oto czego się dowiedzieliśmy.

Redaktor: Niedawno odbyły się wybory do MRDW, w których zostałeś wyłoniony jako nasz przedstawiciel. Powiedz nam, jak czujesz się w nowej roli?

Kostek: Jestem...Ehrem, ehrem... Przede wszystkim bardzo się cieszę, że zostałem wybrany. Włożyłem w to dużo serca i pieniędzy [czy tych z wolskiego budżetu?☺].

Redaktor: Jako radny dzielnicy jesteś jedną z nielicznych osób mających dostęp do informacji dotyczących planów naszej dzielnicy. Czy możesz nam je zdradzić?

Kostek: Oczywiście. W najbliższym czasie większość wolnej powierzchni na Woli zostanie przeznaczona na lokale usługowe i mieszkania. My, jako MRD, zgłosiliśmy projekt dotyczący szafek w szkołach [niestety nasza się do nich nie zalicza ☹] oraz planujemy wybudowanie skate parku.

Redaktor: Czy wśród tych wszystkich propozycji znalazły się również twoje?

Kostek: Zaproponowałem, aby organizowane były koncerty, co najmniej jeden co dwa miesiące. Niestety ustawa nie przeszła.

Redaktor: Aby dobrze sprawować każdą funkcję, trzeba mieć odpowiedni ideał. Jaki jest twój wzór radnego?

Kostek: Moim ideałem radnego, jest osoba szczerą [żeby wywiązywała się z obietnic przedwyborczych?☺], pracowita, towarzyska, oraz uczęszczająca na każde zebranie MRD. Moim ideałem jest Łukasz ☺ (śmiej).

Redaktor: Jesteście rywalami, zagłosowałeś na niego?

Kostek: Oczywiście, że na niego głosowałem (kolejny śmiej...).

Redaktor: Czy starasz się dążyć do takiego ideału, który opisałeś?

Kostek: Zależy, co wcześniej napisaliście (i jeszcze jeden śmiej...). Staram się dążyć do tego ideału podświadomie.

Redaktor: Podczas kampanii wyborczej wiele nam obiecywałeś. Czy wywiążesz się z obietnicy wyborczej i dostarczysz nam więcej „krówek”?☺

Kostek: Krówki dostarczone zostaną podczas studniówki naszych starszych kolegów z klasy III LO.

Redaktor: Rozmawialiśmy z wieloma uczniami na temat twojej kadencji. Jedynie 11% z nich uważa, że potrafisz coś zmienić. Czy możesz to skomentować?

Kostek: Jestem po to, żeby reprezentować tą szkołę, oczywiście będę starał się coś zmienić, ale nie zapominajmy, że jestem jednym z pięćdziesięciu radnych.

Redaktor: Serdecznie dziękujemy za rozmowę i życzymy dalszych sukcesów.

Z pamiętnika dziadka...

Dziadek wydawał się Jankowi, w pewnym sensie, dziwny. Nie przypominał on w niczym tego sentymentalnego, starszego pana, za którego zwykliśmy uważać każdego mężczyznę po „sześćdziesiątce” ani też dziadków, którzy znani są większości z nas z codziennego doświadczenia.

Kto widział Dziadka po raz pierwszy w życiu, na pewno nie posądziłby go o te ponad 90 barwnie przeżytych lat. Rosły, silnie zbudowany, o szlachetnych rysach twarzy mężczyzna zdecydowanie nie pasował do wizerunku ledwie trzymającego się przy życiu staruszka - wyglądał na co najmniej kilkanaście lat młodszego i był o wiele żwawszy od niejednego dwudziestolatka. Wbrew pozorom, nie żył, jak zwykle czynią ludzie w takim wieku, w świecie własnych wspomnień i urojeń. Zawsze stał twardo na ziemi, będąc odpornym na różne obsesje oraz otwartym na pożyteczne innowacje. Brzydził się „wyścigiem szczurów”, nie lubił fałszu, małostkowości i zawiści - należał do gatunku ludzi o wysokiej kulturze, ciekawych świata, delikatnych, a gdy trzeba, naprawdę nieugiętych.

Miał duży dystans do otaczającej go rzeczywistości. Gdy ktoś przychodził, by się wygadać, poradzić, czy o coś zapytać, został zazwyczaj na pożegnanie uraczony jakąś zabawną historyjką (a nie można było powiedzieć, że dziadek nie miał poczucia humoru), ponieważ nie traktował on poważnie dzisiejszych problemów.

Dzieci, a także wnuki, trzymał dość krótko, lecz rozważnie. Wielokrotnie, i to na własnej skórze, przekonał się o tym Janek, mający do staruszka ogromny szacunek, doskonale znający zakres swych obowiązków, jednak wiedzący, że może na Dziadka liczyć. Właśnie na Dziadka, który wielokrotnie zdawał się być chłopakowi bliższym od własnych, wiecznie zapracowanych rodziców.

Było to zwyczajnego, grudniowego wieczoru. Za oknem sypał śnieg, ale domownikom zdawało się być zupełnie ciepło. Nie był

jednak o tym tak do końca przekonany Janek, któremu przy powrocie ze szkoły, jak na złość, zepsuł się autobus i połowę drogi musiał przejść na piechotę, co, pamiętając, że mieszkał pod miastem, składa się już na przydługą, nieprzyjemną (zamieć, zimny wiatr) wycieczkę krajoznawczą. Dodajmy jeszcze do tego normalne z mordowaniem szkołą i oczyma wyobraźni, możemy zobaczyć Janka kończącego właśnie ostatnie z trzydziestu zadanych na następny dzień zadań z matmy. Chłopak otrząsnął pot z czoła:

- Jeszcze tylko lektura - nie pocieszyło go to, a wręcz pognębiło, gdyż zadanych miał na pojutrze „Krzyżaków” Sienkiewicza. Raz zmuszony był już się z nimi zapoznać, a dotychczasowe wrażenia nie napawały go optymizmem:

- „Krzyżacy” - nudna, odpychająca księga, bez żadnej akcji. No nic, cóż zrobić? - szybkim krokiem ruszył w stronę dziadkowego gabinetu:

- Dziadku?

- Tak, słucham?

- Czy nie miałbyś może pożyczyć „Krzyżaków”? Mamy to przeczytać na pojutrze.

- Oczywiście - Dziadek wstał od biurka i sięgnął do wielkiej, secesyjnej¹ biblioteki. Po chwili wręczał już Jankowi ciężkie tomisko.

- Proszę bardzo. Wiesz co, szczerze ci współczuję - dodał - będąc w twoim wieku też musiałem to czytać, a do dziś doskonale pamiętam jak się wtedy czułem - Dziadek podprowadził chłopca pod drzwi i uściśnął mu rękę.

- Powodzenia!

- Dzięki wielkie Dziadku - pożegnał się Janek zaraz potem znikając na zakręcie schodów. Po dalszej chwili wszedł do pokoju i ułożył się wygodnie na łóżku. Otworzył księgę...

...Chłopak spojrzał na zegarek - dochodziła dwudziesta druga, a on przeczytał dopiero trzy rozdziały.

- To koniec - pomyślał naprędce. Był przeraźliwie zmęczony, więc nieopatrznie upuścił książkę, którą na szczęście udało mu się schwycić w połowie lotu. Mimo to, na ziemię upadło kilka kartek.

Janek pozbierał je skrzętnie, myśląc, iż są to wypadłe strony, lecz szybko zorientował się we własnej pomyłce. Zapisane odręcznie kartki (a raczej skrawki) zaczęły go intrygować. Po dalszej chwili zagłębił się w lekturę:

„Los zdarzył, że jestem jedynym człowiekiem, który dokładnie 60 lat temu, bo w dniu 30 kwietnia 1940 roku był w pobliżu miejsca kaźni, chociaż wówczas nie wiedziałem co tam się działo. (...)Po odseparowaniu nas w oddzielnym budynku, dano nam na drogę nieco chleba .i śledzi oraz przekazano nowemu zespołowi konwojentów, którzy przeprowadzili bardzo dokładną rewizję, odbierając wszystkie ostre przedmioty. Z kolei przewieziono nas' ciężarówkami do przejazdu kolejowego w pobliżu stacji, gdzie na boczniczy czekało na nas sześć wagonów więziennych tzw. „stołypinek”, do których nas załadowano po 14 ludzi do przedziału.

Jechaliśmy przez całą noc, prawie nie zatrzymując się. Rano 30 kwietnia ujrzelśmy kopuły cerkwi smoleńskich, oświetlone pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Pociąg zatrzymał się na torach dalszych. Od stacji, lecz po 10 minutach jechaliśmy już dalej. Z kierunku, w którym padały cienie, staraliśmy się określić kierunek jazdy. Stwierdziliśmy, że jesteśmy wiezieni na

naprawdę wieziono nas do Polski? ,

Po przejechaniu jednak kilkunastu kilometrów. Pociąg zatrzymał się. Za zewnętrzną ścianą naszego przedziału, w

której nie było okna usłyszeliśmy warkot motoru samochodowego oraz liczne kroki. Ktoś z sąsiedniego przedziału krzyknął nam, że wyładunek transportu już się rozpoczął.

Po pewnym czasie do naszego wagonu wszedł pułkownik NKWD i kazał mi zabrać moje rzeczy i iść w ślad za nim. Pomiędzy kolegami z przedziału do przedziału poszedł szept „Litwa widocznie żąda”. Wyszliśmy na zewnątrz. Był jasny słoneczny dzień, z pól szły zapachy wiosny, gdzieś leżały jeszcze małe płachty śniegu. O jakieś dwieście kroków przed nami była mała stacyjka, na której peronie nie widać było żadnej żywej istoty. Pułkownik wprowadził mnie do innego pustego już wagonu i kazał zamknąć w oddzielnym przedziale. Przed żelazną kratą drzwi mego przedziału stanął specjalny wartownik.

Znowu usłyszałem warkot samochodu i jakiś ruch za ścianą. Zauważyłem jednocześnie, że w ścianie zewnętrznej, w której nie było okna, był jednak mały otwór pod samym sufitem, przez który prawdopodobnie można było zobaczyć co się dzieje na zewnątrz. Spróbowałem wejść na górną półkę, zasadniczo przeznaczoną na rzeczy, w nadziei, że stamtąd można pędzie wyjrzyć przez ów otwór. Ku memu zdziwieniu wartownik mnie w tym nie przeszkadzał, wyciągnąłem się więc na półce, udając, że śpię. Po pewnym

czasie spojrzałem na wartownika: Stał on odwrócony do mnie plecami i gapił się przez okno. Wyjrzałem więc na zewnątrz.

Przed naszym pociągiem był dość obszerny plac, częściowo porośnięty trawą. Prostopadle do torów biegła droga, która ograniczała plac z lewej strony. Po tej samej stronie, wzdłuż drogi był niski, sztachetowy płot; miałem wrażenie, że oddzielał on ogród należący do któregoś z domków kolejowych, lecz nikogo z mieszkańców nie było widać. Horyzont był zakryty przez drzewa i krzaki. Plac był dość gęsto obstawiony wartami NKWD z bagnetem na broń. Na placu stał zwykły pasażerski autobus średnich rozmiarów z zasmarowanymi wapnem oknami. Wejście do autobusu było od tyłu; podjeżdżał on do wagonów w ten sposób, że jeńcy do niego mogli wchodzić bezpośrednio ze stopni, nie stając na ziemi. Z obydwóch stron

, wejścia do autobusu stali żołnierze NKWD z bagnetem na broń, Autobus zabierał około 30 jeńców i znikał za drzewami. Wracał mniej więcej po pół godziny lub trzech kwadransach, by zabrać następną partię.

Nieco z boku stało auto więzienne, czarne pudło bez okien na bocznych ścianach, a obok niego kapitan NKWD, szpakowaty blondyn, lat około 50. Po środku placu, z rękami w kieszeniach długiego płaszcza stał ów pułkownik NKWD,

który mnie wydzielił z transportu, wysoki i gruby brunet w średnim wieku z czerwoną twarzą. Było jasne, że on nadzorował całą operacją. Zastanawiałem się nad tym, na czym polegała ta operacja. Była dla mnie jasnym, że miejsce, do którego wożono moich kolegów, znajdowało się gdzieś niedaleko, prawdopodobnie w odległości kilku kilometrów. Dlaczego w ten piękny wiosenny dzień nie kazano im maszerować, jak zwykle to czyniono przy transportach do poprzednich miejscowości? Obecność wyższego dygnitarza NKWD przy prostej w gruncie rzeczy czynności wykonawczej, jak przewiezienie kilkuset jeńców z jednego miejsca koncentracji do drugiego dałaby się wytłumaczyć, gdyby nas istotnie mieli wydawać Niemcom. Lecz dlaczego te nadzwyczajne środki ostrożności, dlaczego bagnety na karabinach eskorty? Na te pytania nie miałem odpowiedzi. Lecz wówczas wśród blasków owego wiosennego dnia nie przyszło mi do głowy, że przecież to może być egzekucja...

Na tym relacja się urwała...

Gall Anonim



***KATOLICKI ZESPÓŁ EDUKACYJNY
Federacji Sodalicji Mariańskich w Polsce***

***ul. Ogrodowa 3A
00-893 Warszawa
tel. (0-22) 620-36-58***

www.ogrodowa.pl